

Angielski sen – 4

23 września 2018

Zleciał kolejny tydzień pracy. Po niespotykanej fali upałów, pogoda ustabilizowała się na swoim zwykłym, zmiennym angielskim poziomie. Deszczowe wieczory częściej spędzam w centrum handlowym, niż na ławeczce w parku. Czekam więc te swoje „obowiązkowe” dwie godziny pijąc tam kawę. Mam do wyboru: Costa lub Starbucks.



Tym co zapomnieli lub nie czytali przypomnę, że zaczynam pracę o 22.00, ale pomimo przeprowadzki wciąż mieszkam na tyle daleko, że muszę dojeżdżać. Możliwości transportowe są jednak ograniczone. Ostatni autobus odjeżdża z Borehamwood o 19.16, a kolega, który dysponuje autem i również pracuje na nocną zmianę, zaczyna o godzinie 20.00. Chcąc nie chcąc muszę gdzieś poczekać. Mógłbym oczywiście spędzać czas w firmowej kantine, kilka razy nawet próbowałem, ale jakoś nie mam ochoty przebywać w tym miejscu dłużej niż jest to konieczne.

W Coście podwójne espresso kosztuje funt osiemdziesiąt, w wygodnym fotelu, przy kawie i akompaniamencie dyskretnej muzyki (zwykle ABBA), czekam na swój shift. Oprócz czwartków, bo w czwartki nie mam już funta osiemdziesięciu, ba nie mam nawet funta pięćdziesięciu na pojedyncze espresso. Miewam

natomiast czasami 75 pi na frytki w kantynie, ale podają dopiero po północy. W czwartki oglądam sklepowe witryny.

Jeśli pogoda pozwoli, to zamiast centrum handlowego, wybieram oczywiście parkową ławeczkę nad bajorem. Mimo, że twarda, to wolę ją, niż wygodny fotel i espresso. Jest to jedyny czas, jaki mam dla siebie w ciągu całej doby.

Przez ponad trzy miesiące pracowałem na dziennych zmianach. Od szóstej do czternastej, lub od czternastej do dwudziestej drugiej. Wpadłem w rytm i tutejszą rutynę, traciłem jedynie tylko tyle dnia, ile zajmowała mi praca włącznie z dojazdem. Od kiedy pracuję w nocy, nie mam już ani dnia, ani nocy.

Przy dziennym cyklu rozplanowałem sobie czas i miałem go nawet sporo dla siebie. Mogłem wyjść na spacer, czytać, albo coś obejrzeć. A jeśli na czymś bardzo mi zależało, mogłem też zarwać trochę nocy. Sama praca też wydawała się mniej absorbująca.

Teraz nie mam już czego zarywać. Wracając o świcie zwykle padam. Śpię po dwie, trzy godziny, budzę się i ponownie zasypiam. Tak do 16.00. Potem wstaję i zaczynam się szykować, by przed osiemnastą wyjść już z domu, bo po dziewiętnastej wyjeżdżamy. Pięć dni (nocy) w tygodniu. Odliczanie zaczynam od pierwszej, pierwsza z pięciu, druga z pięciu, trzecia... itd.

Na swojej zimnej hali loguję się za pomocą specjalnego zegara tuż przed dwudziestą drugą. Wpisuję swój, nadany mi tutaj numer – 90632, hasło, potem skanuję dwa kody, naciskam enter i już jestem w pracy. Każda noc wygląda jednakowo. Zaczynam od wybierania folii, którą były owinięte palety z towarem. Zazwyczaj jest jej od cholery, a ja muszę ją wybrać w całości i przewieźć dwie hale dalej, do specjalnej maszyny, która ją sprasuje. Podobnie robię z tekturą. To zajęcie jest najbardziej czasochłonne, więc zaczynając shift robię rekonesans i na podstawie ilości kartonów i plastiku ustalam sobie tempo pracy.

Z rozgłośni radiowej, którą na chillu bardzo słabo słychać – ponieważ dmuchawy zagłuszają – dobiega muzyka. Gdy tylko jednak przejdę na ambient, muzyka jest już wyraźna – podobnie jak w Coscie – znowu ABBA. Za każdym razem, gdy wychodzę i zmieniam halę, słyszę ten zespół. Zacząłem się zastanawiać, skąd u Anglików takie zamiłowanie do tego szwedzkiego zespołu. Aż wreszcie mnie oświeciło. Oni faktycznie, w tej rozgłośni wciąż puszczaają ABBE, ale tylko jeden utwór – „Waterloo”.

Waterloo, to miejsce, w którym Anglicy pokonali Francuzów. Zwycięstwo księcia Wellingtona nad Napoleonem.

Faktycznie, mają powód do dumy, ale nie zdziwiłbym się, gdyby przeciętny Anglik zapytany czy wie, co to Waterloo, odpowiedziałby: wiem, piosenka ABBY! W Luton przy Wellington Street, jest tam polski sklep, w którym można kupić ukraińskie papierosy.

Nocą w magazynach jest znacznie mniej ludzi, więc i atmosfera sprzyja do nawiązywania bliższych i bardziej zażyłych relacji. Do drugiej są jeszcze na chillu pracownicy, którzy ładują towar na podstawione wcześniej przyczepy ciężarówek – louderzy. Czas mija mi więc na sprzątaniu przeplatanych rozmowami, a ponieważ już zdążyliśmy się poznać to i rozmowy bywają ciekawe i bardziej osobiste.

Są to zwykłe pracownicy z wieloletnim – czasem nawet kilkunastoletnim – stażem. Prawie wszyscy, gdy opowiadają o tej pracy mówią podobnie: przyjechałem tu tylko na chwilę... Nie zarobki czy jakieś super warunki zatrzymały ich w tym miejscu (choć podobno przed laty praca w tym zakładzie wyglądała znacznie lepiej), ale codzienny kierat.

Chwila przerodziła się w miesiąc, miesiąc w rok, a rok w kilkanaście lat. Po takim czasie pomysł zmiany zajęcia jest już bez sensu. A plany na przyszłość zamykają się w jednym słowie – trwanie.

Właśnie atmosfera jest chyba jedyną zaletą nocnej zmiany, bo

wyższa stawka zanika przy zwiększonej liczbie wypalonych papierosów.

W dzień hale są zatłoczone, ludzie ścigają się w wykonaniu limitów, management ich pogania i w zasadzie jedynie kliner ma czas, by z kimś pogadać. Produkcja śmieci idzie wprawdzie też wtedy pełną parą i przekracza możliwości ich utylizacji. Wysprzątane przed chwilą miejsce, w ciągu kilku sekund pokrywa się ponownie grubą warstwą śmieci. Nikt nie jest w stanie sprawdzić czy ktoś sprząta, czy nie. W nocy odwrotnie.

Ale po kolei. Podzieliłem sobie sprzątanie na trzy etapy. Od dziesiątej do drugiej, od drugiej do czwartej i od czwartej do szóstej. Zaczynam od wywożenia folii i kartonów do specjalnych maszyn, które prasują je w bale. Ustawiam porozrzucane po całym pomieszczeniu, wózki, skrzynki, dolki i kejdże (takie wysokie klatki na kółkach). Wybieram śmieci i papierki ze specjalnych worków, do innych worków i układam je w wózku. Jeśli nie zdążę z tym wszystkim do drugiej, to nie wyrobię się z całością do czwartej. A wtedy mam przerypane.

Od drugiej, gdy loaderzy zabiorą cały towar i hala świeci pustakami zabieram się za podłogę. Siedem tysięcy metrów kwadratowych – według krokomierza (ciut więcej niż morga). Zbieram porozwalane zupy, sosy, jogurty, kefir i wszystko cokolwiek tam leży, myję podłogę tam gdzie się porozwalało, porozlewało, sikło, poplamiło, rozdeptało lub rozjechało. Czasem jest tego dużo, czasem nic. Na koniec zamiatam całość. Tu już muszę wyrobić się do czwartej. O tej porze przychodzą pierwsi pracownicy, przyjeżdża towar i znowu zaczyna się gwar. Hala musi być wysprzątana, co osobiście sprawdza team capitan. Od czwartej do szóstej w zasadzie nie mam już specjalnie nic do roboty. Myję mopy i kończę prasowanie folii i tektury, w specjalnych rubrykach, na specjalnej tablicy spisuję znalezione i zniszczone artykuły spożywcze. Mają taką procedurę żeby zdjąć je ze stanu – chociaż tak naprawdę nigdy nie da się tego rzetelnie zrobić – wywożę jeszcze worki z papierkami do głównego śmietnika, cyrklując tak, by nie

skończyć zbyt wcześnie, najlepiej tuż przed szóstą.

Zazwyczaj wyrabiam się bez większego problemu, czasami jednak dorzucają mi do obowiązków sprzątanie fragmentu zupełnie innej hali. Wtedy jest trochę gorzej, bo to strata przynajmniej godziny z mozolnie wypracowanego systemu trzech etapów. I zwykle polecenie takie dostaję w najgorszym dla siebie momencie czyli etapie środkowym, między drugą a czwartą, z wyraźnym komunikatem „now” – czyli teraz.

Tak naprawdę moja praca nie jest zbyt ciężka, zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że to najlepsze stanowisko w tej firmie, choć najslabiej tu opłacane (dzienny klinier ma mniej). Wadą jest też oczywiście niska temperatura, nie mam jednak żadnych norm. I poza tym, że muszę ogarnąć swój rewir, to nikt mnie nie popędza. Nocny management przywykł już do nowego kliniera na zmianie i znowu stałem się dla nich niezauważalny.

Przynajmniej dopóki nikt nie przetłumaczy im tego co wypisuję. Bo zdaje się, że coraz więcej moich współpracowników śledzi ten cykl.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info